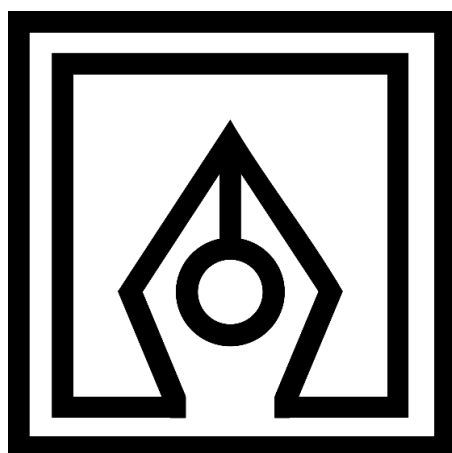


Stowarzyszenie Polonistów, Muzeum Krakowa oraz Koło Naukowe Metodyki Polonistycznej UJ

Interdyscyplinarny konkurs literacki



SŁOWEM O SZTUCE

EDYCJA 2024

Prace uczniowskie wyróżnione do publikacji



kategoria: uczniowie szkół podstawowych (klasy IV-VI)

Ratując Kraków

Nawojka Nawrot, uczennica Szkoły Podstawowej nr 33 im. Króla Stefana Batorego w Krakowie, opieka merytoryczna: mgr Beata Ciesielka-Piątek

Nawojka Nawrot

Ratując Kraków

Wracałam do domu po długim i męczącym dniu pracy. Słońce chowało się za horyzontem. Drzewa przyjemnie szumiały, a lekki wiatr delikatnie mierzwił mi włosy. Oddychałam świeżym, wiejskim powietrzem.

„Niebawem dojadę do chaty. Wystarczy tylko rozsiodłać konia, rozpalić ogień w kominku, przygotować kolację i nareszcie odpocząć - pomyślałam. - No i wziąć kąpiel”.

Od wschodu do zachodu słońca sprzedawałam kury i warzywa przy krakowskim straganie. Prawdą jest, że najlepiej można zarobić, wystawiając towar na kramach. Ale brakowało tam bieżącej wody, dookoła panował ruch, niedbale rozkładano mięso, owoce, jarzyny, nikt nie dbał o czystość. Myśl o pobudzającym obmyciu dodawała mi siłę. W oddali zobaczyłam swoją wieś... za chwilę będę w domu.

* * *

Gorąca strawa w garnku przepysznie zapachniała. Poszłam po łyżki i misę. Jedyne, czego teraz pragnęłam, to...

- Oj - krzyknęłam.

Coś uderzyło mnie w głowę. No tak, znowu zapomniałam się schylić, wchodząc do kuchni o niskim sklepieniu. Masując czoło, wzięłam przedmioty, po które przyszłam i wróciłam do stołu, tym razem schylając się w przejściu. Już miałam zacząć jeść, kiedy usłyszałam szczekanie psa.

- Pewnie znowu zobaczył sarnę przebiegającą przez las - powiedziałam cicho do siebie.

Jednak dźwięk wydawany przez zwierzaka nadal był głośny i wyraźny. Zaniepokoiłam się. Ciarki przeszły mi po plecach. Wyobrażenia podpowiadała mi przerażające sceny. Wzięłam latarnię, bo na zewnątrz zrobiło się ciemno i wyszłam zobaczyć, co zaniepokoiło psa.

Uspokajając domowego stróża, rozejrzałam się dookoła. Błyski światła, zgrzyt metalu i niepokojący ruch na obrzeżu lasu zwróciły moją uwagę. Zrozumiałam, co się dzieje. Około pięć tuzinów Tatarów szło w stronę miasta.



Serce zaczęło mi bić szybciej. Przypomniałam sobie, że wszyscy mężczyźni ze wsi zostali wysłani na szkolenie wojskowe, które miało się odbyć w nieznanym miejscu. Nie było nikogo, kto mógłby na czas ostrzec władze Krakowa. Nie było nikogo, nie było nikogo... oprócz mnie. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, żołądek ścisnął mi się ze strachu. Przecież nikt nie wysłucha dziewczyny ze wsi, nikt nie uwierzy dziewczynie ze wsi.

Mnóstwo myśli kłębiło się w mojej głowie: „Jechać czy nie jechać? Przekonam obrońców miasta czy nie? A co będzie, jeśli schwyta mnie hetman, a może nawet kat?! Jest ciemno, czy trafię do Wieży Ratuszowej? Jak nie zbłądzić i uprzedzić najeźdźców?”.

Mimo wielu wątpliwości wsiadłam na konia i galopem popędziłam do Krakowa.

Zdecydowana i spokojna zbliżałam się do murów otaczających miasto. Podczas podróży doszłam do wniosku, że najlepszym sposobem wejścia do miasta będzie przecisnięcie się przez bramę przy Baszcie Szewców. Ten plan mógł się powieść.

- Udało mi się, jestem w Krakowie - szeptem dodałam sobie odwagi.

Dokładnie zlustrowałam miejsce, w którym się znalazłam. Była to wąska uliczka z kocich łbów rozdzielająca dwa szeregi zaciemnionych kamienic i oświetlona przez niewielką latarnię.

Usłyszałam, że ktoś się zbliża z drugiego końca alei. Wstrzymałam oddech i przycisnęłam się do niewysokiego budynku dającego mi schronienie. Po chwili zobaczyłam starszego mężczyznę ubranego w brązowy płaszcz oraz parę młodych ludzi tulących się do siebie. Wypuściłam z ulgą zatrzymane w płucach powietrze i wyszłam z cienia budowli. Pierwszy raz, odkąd zaczęłam gonitwę do Krakowa, rozluźniłam się. Dostrzegłam, jak piękna jest noc. Księżyc świecił jasno, gwiazdy na bezchmurnym niebie skrzyły się niczym diamenty. Świat wydawał się nieujarzmiony, ale bezpieczny. Uwiedziona niezwykłym widokiem dotarłam na Rynek Krakowski. Nigdy nie widziałam go nocą. Miałam ochotę zatrzymać się w tym miejscu, stać w zadumie całą wieczność, cieszyć się urodą miejsca. Niestety, sytuacja na to nie pozwalała.

- Co tu robisz sama, panienko? - usłyszałam męski głos pełen zdecydowania i wrogości.

Odwrociłam głowę i zdałam sobie sprawę, że stoi przede mną hetman, człowiek, którego intuicyjnie chciałam uniknąć, gdyż wielokrotnie słyszałam opowieści o jego surowości i nieugiętej postawie wobec białogłów.

- Ja...ja...ja mam wiadomość, wiadomość... dla p... pana - przerażona próbowałam odpowiedzieć. „Czemu muszę się jąkać? Jąkać się w takiej chwili?” - pomyślałam z rozpaczą.

Spojrzałam na mężczyznę. Był wyższy ode mnie, szeroki w ramionach, o surowej twarzy porośniętej gęstą, czarną brodą. Ubrany w szaro-czarne szaty wyglądał bardzo poważnie.

- Jakie wieści? Dla mnie? Nie zmyślaj, włóczęgo!



Kpina w jego głosie sprawiła, że pożałowałam swojej decyzji przyjazdu do miasta z przestrogą dla jego mieszkańców.

- Armia Tatarów zbliża się do Krakowa - wykrztusiłam.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Dotrze tu za pół godziny - starałam się mówić konkretnie i z pewnością.

- Czyżby? Jesteś tego pewna, mizeroto? - drwił.

Jego zachowanie było nie do zniesienia. Czułam się wobec niego bezsilna, w myślach mówiłam spokojnie i z powagą: "Tak, jestem pewna, widziałam ich". Jednak w rzeczywistości jękałam się i płakałam.

- Błagam, niech mi pan uwierzy. Mam na imię Gertruda, mieszkam nieopodal Krakowa, w małej wsi... błagam... błagam, niech pan zaalarmuje mieszkańców...

- Ja mam uwierzyć tobie? - nonszalancko przerwał mi mężczyzna. - Co to, to nie, panienko! Pójdiesz ze mną, a po wschodzie słońca kat sprawi, że powiesz nam, co naprawdę robisz nocą na ulicach miasta.

- Nie... proszę! - czułam, że moim ciałem wstrząsają dreszcze, zalała mnie fala energii i siły, jakiej się po sobie nie spodziewałam. Wyrwałam się z żelaznego uścisku hetmana, który usiłował zaciągnąć mnie do Wieży Ratuszowej.

- Uuuuuwagaaa! - krzyknęłam najgłośniej, jak potrafiłam.

Dźwięk ten zaskoczył hetmana, ale też obudził śpiących krakowian.

- Tatarzy atakują! Alarm! - nie przestawałam krzyczeć.

Liczba oświetlonych okien wzrastała, ludzie wychodzili na ulice, wyglądali na zewnątrz. Powtarzali: „Tatarzy”.

Pomyślałam, że już będzie dobrze, na pewno miasto odeprze nocny atak wrogów. Mocne szarpnięcie przypomniało mi, że hetman mi nie wierzy i chce ukarać. Nie zwracałam na niego uwagi, nie patrzyłam na wykrzywioną złośliwym grymasem twarz, krzyczałam, budziłam miasto... Myślałam tylko o tym, że Kraków nie zostanie zdobyty przez najeźdźców.

* * *

Kraków to miasto wiecznie żywe, nic nie zakłóci jego piękna i królewskiego majestatu. Z uśmiechem i prawdziwym podziwem spoglądałam na mury miejskie, brukowany rynek, wieżę, kościół, a przede wszystkim Sukiennice. Cieszę się, że jestem częścią tego wyjątkowego miejsca.

Od najazdu Tatarów minęło trochę czasu, wspominam to wydarzenie jako chwilę, w której poczułam, że potrafię wiele, że mam w sobie siłę i nie ustępuję innym. Zrozumiałam, co oznacza doceniać własną wartość. Ale nie tylko ja się zmieniałam, krakowianie spojrzeli na mnie jak na bohaterkę. Dostrzegli, że



w ubogiej dziewczynie istnieje wielka siła, siła, którą noszą kobiety. Czasami słyszę, że szepcą to swoim córkom, siostram i wnuczkom.

A co stało się z hetmanem? Niech prawdę o nimowie tajemnica.

kategoria: uczniowie szkół podstawowych (klasy VII - VIII)

Pewnego razu nad Wisłą

Adam Chmielewski, uczeń Szkoły Podstawowej nr 64 im. Tadeusza Kościuszki w Krakowie, opieka merytoryczna: mgr Anna Stolarska

Adam Chmielewski

Pewnego razu nad Wisłą

Duchota panująca w sali nie pozwalała mi się skupić na słowach mojej pani od polskiego. Jedyłą aktywnością, na którą mogło pozwolić sobie moje ciało, było leżenie na ławce z założonymi rękami. W pewnym momencie coś jednak zakłóciło ten błogi spokój, w którym się zatracalem. Jakiś dźwięk obudził mnie niczym strzał z bicia albo jakaś błyskawica. Podniesiony głos pani Ani mieszał się w ze szmerem wstających się z ławek uczniów. Omawialiśmy jakiś obraz.

- Zobaczcie, wtedy ludzie żyli pełnią życia! To podniosłe wydarzenie! To historia i nasze zwyczaje! A wy nie potraficie tego uszanować, poznać czegoś tak ważnego i wyjątkowego! Ciekawe, czy na tym pochodzie też byście się tak zachowywali?

Zabrzmiało to przerażająco, ale jej słowa okazały się prorocze, o czym miałem się wkrótce przekonać.

Zbawienny dzwonek w końcu łaskawie wybrzmiał, zwiastując koniec naszej lekcji. W pośpiechu przebrałem buty i popędziłem jak szalony do mojego domu. Jadąc windą, nie myślałem za dużo o szkole. Zmieniło się to jednak, gdy w lustrze zamieszczonym w windzie ujrzałem... lajkonika. Wrzasnąłem przeraźliwie, a moje serce przygotowywało się chyba na zawał. Poczulem krople zimnego potu lejące się z mojego karku strumieniami. Byłem pewny, że wsiadłem do windy sam, co potwierdziło się, gdy się obróciłem. „Co za dziwny dzień” - stwierdziłem w myślach - „To pewnie przez zmęczenie, chyba mam omamy.” Po opuszczeniu windy wydobyłem z plecaka klucze i zabrałem się za otwieranie drzwi. I kiedy w końcu stanęły przede mną otworem stwierdziłem, że chyba mocno uderzyłem się gdzieś w głowę.



Przekroczyłem próg.... ale wcale nie do swojego domu. Byłem w centrum dziewiętnastowiecznego pochodu lajkonika!

Oszołomienie, które przyprawiło mnie o zawroty głowy, powoli, lecz nieuchronnie zmieniało się w zachwyty! W tych wielkich łopocących sztandarach, w podniosłej, ale skocznej muzyce, tańczących wesoło dzieciach, uśmiechniętych twarzach i w kolorowym stroju lajkonika było coś pociągającego, ciekawego i to coś sprawiło, że postąpiłem krok dalej. Jednak moja zuchwałość została skarcona przez mocne uderzenie buławą pędzącego na koniku mężczyzny w tatarskim stroju. Uśmiechnąłem się, uczestniczyłem w czymś zupełnie niesamowitym! W tym momencie, kiedy szaleńczo klaskałem wraz z innymi w rytm jednej z piosenek myślałem, że już mnie nic nie zaskoczy i wtedy usłyszałem za sobą męski głos:

- Hej! Młody! Chcesz na rumaka?

I zanim zdążyłem odpowiedzieć, zostałem porwany za koszulkę i posadzony na pędzącym lajkoniku. Jadąc przez tłum świętujących, rozdawałem razy na szczęście tatarską buławą wręczoną mi przez jej właściciela. Po chwili ujrzałem cel naszej podróży. Zmierzaliśmy do miasta, które niewiele było oddalone od uroczystości. Wciąż w euforii, nie wierząc w to, że naprawdę biorę udział w pochodzie lajkonika, przekroczyłem bramę miasta. Nie przestawaliśmy rozdawać uderzeń, które miały przynieść szczęście i dobrobyt każdemu zainteresowanemu. W końcu lajkonik zatrzymał wierzchowca, pomógł mi z niego zsiąść. Byłem ogromnie ciekawy, co się teraz stanie. Okazało się, że obchody przeniosły się na moment do pobliskiej karczmy, w której to tatar poczęstowany został piwem oraz obwarzankiem, bo taki podobno był zwyczaj. Byłem nieco rozczarowany, gdyż dostałem tylko obwarzanka, ale za to był przepyszny. Po poczęstunku lajkonik zaprosił mnie do kontynuowania podróży. Nie wiedziałem, gdzie zmierzamy, lecz byłem tak podekscytowany, jak małe dziecko, które właśnie dostało nową i niezwykłą zabawkę. Towarzyszyła nam ogromna procesja, ciągle otaczały nas radosne tłumy oraz chorągwie i sztandary, ludzie nie przestawali się uśmiechać i podstawiać głowy pod uderzenia tatarskiej buławy.

Jak się okazało kolejnym przystankiem na naszej drodze był miejski ratusz a dokładnie Wieża ratuszowa, przed którą na pochód czekał burmistrz. Uroczyście przekazał on lajkonikowi bogaty haracz. Zewsząd słyhać było wiwaty, a ja klaskałem chyba najgłośniej. Wtem z wieży mariackiej rozległ się hejnał, a wiwaty nieco ucichły, bo wszyscy zasłuchali się w tę przepiękną melodię. Wtedy lajkonik spojrzał na mnie uważnie, jakby dobrze wiedział, że nie jestem stąd.

- Zamknij oczy i pamiętaj o mnie - powiedział z uśmiechem, po czym włożył mi coś do kieszeni i poprosił, abym obejrzał to dopiero w domu.



A więc naprawdę wiedział, że jestem przybyszem z innej rzeczywistości. Gdy tłum zaczął się powoli rozchodzić, zabrał mnie na ostatnią przejażdżkę. Zatrzymał się nad brzegiem Wisły. Długo spoglądaliśmy w taflę wody, tak jak dzisiaj spoglądałem w taflę lustra w zupełnie innym miejscu. Czułem, że już tu więcej nie wrócę i zrobiło mi się dziwnie przykro. Wtedy nachylił się nade mną i cicho szepnął:

- Postaraj się bardziej uważać na polskim - i mrugnął.

Po czym jego odbicie rozplynęło się w niezmaconej niczym tafli wody.

Nie umiem wyjaśnić, czego właściwie byłem świadkiem. Czy to nie był czasem sen? Świat powoli wracał do normalności, a ja do mojego domu znad Wisły wróciłem komunikacją miejską. Gdy leżałem już w łóżku, coś mi się przypomniało. Włożyłem rękę do kieszeni spodni i... wyciągnąłem z niej trzy monety. Nie mogły pochodzić z naszych czasów, a jedna z nich nosiła podobiznę... tak zgadliście – Lajkonika!

kategoria: uczniowie szkół ponadpodstawowych

Dawno temu w Krakowie

Zofia Buroń, uczennica II Liceum Ogólnokształcącego w Zespole Szkół Ogólnokształcących

im. św. Jadwigi Królowej w Nowym Targu, opiekun merytoryczny: mgr Paulina Batkiewicz-Wasilewska

Zofia Buroń

Dawno temu w Krakowie

„Życie jest jak pudełko czekoladek - nigdy nie wiesz, na co trafisz” - mówił rozmarzonym głosem główny bohater jednego z moich ulubionych filmów, Forrest Gump. Słowa te szczególnie odżywiają w mej pamięci, gdy wspominam ostatnie wydarzenia. Doprawdy nigdy bym nie przypuszczała, że idąc spokojnie ulicą, można zagiąć czasoprzestrzeń...

Wracałam wczoraj po południu ze szkoły i pod wpływem niejasnego impulsu wybrałam dłuższą drogę przez Stare Miasto. Niebo od rana było zasnute ciężkimi, szarymi chmurami, toteż niezmiernie ucieszyłam się, widząc, jak się przejaśnia i zza obłoków wreszcie wychodzi słońce. Nareszcie prawdziwie wiosenna pogoda! Byłam tym tak uradowana i pochłonięta snuciem planów na pozostałą część nieoczekiwanie pogodnego dnia, iż początkowo nie zauważyłam zmian zachodzących w moim otoczeniu. Tymczasem



mijane przeze mnie kamienice pozbywały się neonów i billboardów na rzecz drewnianych szyldów. Znikały sklepy z odzieżą, a zaczęły pojawiać się warsztaty szewskie i krawieckie. Nigdzie nie było widać samochodów, a uliczki były niezwykle wyludnione jak na Kraków. Zmiany były tak drastyczne, że pomimo pochłaniających mnie różnych innych myśli, nie mogłam ich nie spostrzec. Zaczęły mnie one niepokoić - czy na pewno idę dobrą ulicą? Czy to ta sama droga na Rynek, jaką znałam od dawna? A może błędnie skręciłam? Sięgnęłam do kieszeni po telefon, ale rozczarowana odkryłam, że nie chce się uruchomić. No to pięknie - pomyślałam rozeźlona, chowając urządzenie do plecaka - pozostaje mi chyba jedynie poszukać kogoś, kto mógłby powiedzieć mi, gdzie jestem. Zaczęłam uważniej rozglądać się za potencjalnym przewodnikiem, nikogo jednak nie dostrzegłam. Szłam więc naprzód, coraz bardziej zaniepokojona swoją sytuacją. Wreszcie przy wylocie ulicy dojrzałam sporą grupę ludzi. Odetchnęłam z ulgą - nareszcie! W końcu dowiem się, gdzie ja właściwie jestem. Ruszyłam rażno w stronę stojących na rogu ulicy kobiet. Były ubrane w suknie, które bardziej przypominały mi eksponaty muzealne niż codzienne ubrania. Ale może to jakaś rekonstrukcja? Tak czy siak muszę spróbować. Dlatego podeszłam do owych szykownych dam i zapytałam najgrzeczniej, jak umiałam:

- Przepraszam, mogłyby mi panie powiedzieć, co to za ulica? Straciłam orientację...
- Jakżeż ta czeladź prostacką jest, nieprawdaż, Izabello? - powiedziała zniesmaczona dama w niebieskiej sukni do swojej sąsiadki, odsuwając się ode mnie, jakbym była zarażona jakąś ciężką chorobą.
- Prawdę głosisz, najdroższa. Lecz jeno chwilę jeszcze będziemy musiały się narażać na takie nieprzyjemne sytuacje - patrzajże, to twój Józef idzie po nas. Pewno znalazł odpowiednie dla stanu naszego miejsca. Idźmy dziewczęta - rzekła i wraz ze swoimi towarzyszkami pomaszerowała w głąb tłumu wraz z odświętnie ubranym mężczyzną.

Byłam nieprzyjemnie zdziwiona całym zajściem, ale i zaintrygowana ogromnym tłumem, który gromadził się u wylotu ulicy. Dlatego usiłowałam przecisnąć się pomiędzy ludźmi i zobaczyć, co się dzieje. A zebrało się bardzo wiele osób: mężczyzn, kobiet, starców, małych dzieci, wytwornie ubranych pań jak te, które przed chwilą tak oschle mnie potraktowały, ale i żebraków w łachmanach. Wszyscy cisnący się do jednego miejsca z roziskrzonymi oczami. Wszyscy niecierpliwie na coś oczekiwali i przepychali się, stawali na palcach, zadzierali wysoko głowy, gorączkowo kogoś lub czegoś wypatrując. Widząc tyłu tak różnych ludzi, których jedna sprawa skłoniła do porzucenia swoich zajęć, pragnęłam dowiedzieć się, co było tą ważną przyczyną. Jednocześnie coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że nie poszłam właściwą ulicą. Ci ludzie byli tak przedziwnie ubrani, iż nie miałam pojęcia, gdzie właściwie jestem. To było jak niezwykle pokręcony sen. A przecież ja bynajmniej nie śpię. W końcu zobaczyłam wieżę Mariackiego kościoła: to Rynek! Nareszcie!



Jednak, kiedy przebiłam się przez tłum, kompletnie osłupiałam. Na Rynku zamiast rzeszy turystów, stało wojsko. Masa żołnierzy w granatowych mundurach w zwartym szyku czekała wraz z ciżbą ludzi. Ludzie w tłumie, zwłaszcza ci młodzi wyglądali jakby głównie czekali na coś niesamowitego. Ich rozgorączkowane oczy wypatrywały sensacji. Większość wydawała się nie do końca rozumieć, o kogo, czy o co tu chodzi. Ważne, że miało się dziać. Natomiast wojskowi i starsi ludzie czekali spokojnie: zapewne wiedzieli, co tu nastąpi. Ich oczy rozjaśniała jednak nie ekscytacja, lecz nadzieja. Żołnierze zdawali się czekać nie na samo wydarzenie, ale na tego, kto ich poprowadzi. Nagle mnie olśniło! Przecież nie widać człowieka dowodzącego tym wojskiem! Wojsko czekało na generała, a starsze i świadome osoby na czas, gdy pójdzie ono w bój. Ale z kim? O co? To już było w sferze moich domysłów, bo po pierwszej rozmowie tutaj bałam się do kogokolwiek odezwać. Poza tym ludzie bardzo dziwnie patrzyli na mój niebieski plecak. Dziękowałam sobie w duchu, że zdecydowałam się dziś na dłuższą spódnicę, a nie džinsy, gdyż nie widziałam żadnej dziewczyny w spodniach.

Czy ja przeniosłam się w czasie? Jak to się stało i dlaczego? Czy będę mogła wrócić? Zanim jednak zdążyła zawładnąć mną panika, coś skutecznie odwróciło moją uwagę, bowiem na środek placu wszedł mężczyzna. Jego biały płaszcz kontrastował z otoczeniem. Na jego widok zewsząd rozległy się radosne okrzyki.

- Wiwat bohater, Wiwat Kościuszko! - krzyтели ludzie, ile sił w płucach. Bo oto symbol walk o wolność jest wśród nich, właśnie tutaj, na krakowskim rynku. To idzie wódz, żołnierz, nadzieja i sensacja. Jest kimś, kto łączy na swój sposób każdego z mieszkańców. Wciąż zaskoczona faktem, iż człowiek, którego portrety wiszą w muzeach a dokonania opisywane są w podręcznikach, który w Krakowie ma swój kopiec, że on stoi w zasięgu mojego wzroku, a jego słowa gubią się w ogólnym zamieszaniu pomimo swojej wzniosłości.

Nagle przed oczami zaczęło robić mi się ciemno, nie słyszałam już okrzyków, wiewatów czy gwizdów, tylko powoli traciłam władzę nad swoim ciałem, osuwałam się na ziemię wbrew sobie. Pierwszym, co zobaczyłam, kiedy odzyskałam czucie, było pochmurne niebo i pochylający się nade mną przerażony starszy pan. Dowiedziałam się od niego, iż idąc ulicą, straciłam przytomność i przez dobre parę minut nie dało się mnie wybudzić. Wysłuchałam opowieści, popijając ofiarowaną mi przez niego wodę. Więc to tak... Kiedy poczułam się dość pewnie, aby móc chodzić, wstałam i powiedziałam do mężczyzny z wdzięcznością:

- Dziękuję, że mi pan pomógł. Miałam ogromne szczęście, że był pan w pobliżu. Czy mogę poznać choć imię mojego bohatera?
- Tadeusz - odparł z uśmiechem starszy pan.
- Bardzo piękne imię... Doprawdy dla wielu to imię znaczy bardzo dużo... - odparłam z zadumą.



